

## Sekrety pracy zegarmistrza

■ Katarzyna Pawłowska-Salińska 2008-07-14, ostatnia aktualizacja 2008-07-14 10:05:18.0

### **Józef Gryżewski ma 77 lat. Od pół wieku jest mistrzem zegarmistrzostwa. Dziś martwi się, że jego zawód umiera.**

Bo od kilku lat do cechu nie zgłasza się żaden uczeń. I w całej Warszawie jest tylko trzech zegarmistrzów, którzy potrafią naprawiać duże, bijące, ściennie zegary. Na ścianie zakładu przy ul. Waryńskiego, gdzie pracuje pan Józef, takich bijących zegarów jest kilkanaście. Grające, z kukułką, z długim błyszczącym wahadłem, pięknie zdobionym cyferblatem.

Dlaczego młodzi nie chcą naprawiać zegarów? - Garną się do komputerów i nie mają cierpliwości do takiej dłubaniny - macha ręką pan Józef. Dziś świat jest szybki i pazerny na pieniądze. A z zegarami trzeba delikatnie, powoli i dokładnie.

I trzeba mieć talent. Pan Józef, choć urodził się z wadą palców i dłoni, od małego miał dryg do tej roboty. Ku utrapieniu mamy jako kilkuletni chłopczyk rozbierał przedwojenne solidne budziki. A przecież nikt w domu na zegarmistrzostwie się nie znał.

#### **Lunch pod Pałacem Kultury**

Czasem do zakładu pana Józefa przychodzi dużo klientów. Temu trzeba wymienić pasek, temu baterię, ta chce, żeby jej skrócić bransoletkę. - Ale są też dni, kiedy siedzimy i patrzymy w okna - mówi córka pana Józefa.

W latach 50., gdy pan Józef zaczynał, na czeladnika trzeba było się uczyć trzy lata. Józek chodził wtedy do zakładu Mistrza Żurka, na rogu Poznańskiej i Nowogrodzkiej. Dziś jest tam restauracja. - Przez pierwsze półtora roku paliłem w piecu i nosiłem szefowej ziemniaki - śmieje się pan Józef. Aż w końcu go dopuszczono do tajemnej wiedzy. Ale tylko o zegarach ściennych. Nad tymi na rękę szef zawsze siedział tak, że nie pozwalał Józkowi zerknąć.

Z zakładu Mistrza Żurka były dwa kroki na plac budowy Pałacu Kultury. Józek więc na drugie śniadanie kupował sobie cztery serdelki i oranżadę, a potem siadał na murku i patrzył. Rosjanie budowali, a on jadł swój lunch.

Ale prawdziwe lunche pan Józef jadał w Stanach. Pierwszy raz pojechał tam w 1967 r. na zaproszenie kolegi. - Jak do rodziny zadzwoniłem i powiedziałem, że jestem na lunchu, piję kawę, jem dobre jedzenie, to myśleli, że to jakaś impreza - wspomina. W Nowym Jorku pan Józef widział Polaków, którzy myli wieżowce i zaharowywali się na budowach. Wtedy myślał, że Ameryka to jest dla Amerykanów - silnych, barczystych, opalonych facetów. A Polacy są na tę ich pracę za słabi. I cieszył się, że jest zegarmistrzem.

#### **Najlepsze przynosili hrabiowie**

Niewidoma kobieta kręci się niespokojnie na krześle. - Długo jeszcze? - pyta. - Jeszcze chwilę musi pani poczekać - mówi córka pana Józefa. Swoją wielki czarny mównicy zegarek niewidoma przynosi do zakładu co kilka tygodni. Zegarmistrz pracowniczo wyłącza jej wszystkie melodyjki i pikania. Bo niewidomej klientce wystarczy, że zegarek jej powie, która jest godzina. Nie chce tych innych uduziwnień. - Ten zegarek trzeba wyczyścić - mówi pan Józef do starszej klientki, która przyniosła mu maleńki cyferblat na cienkim czarnym pasku. Niestety, czyszczenie kosztuje 25 zł, więc starsza pani rezygnuje.

A zegarki naprawdę się brudzą. Trzeba je czyścić co dwa lata. Przede wszystkim zużywa się oliwa, jak w silniku. Pan Józef do czyszczenia ma specjalny zestaw sitek. Rozbiera zegarki na najmniejsze części. Nawet włos jest oddzielnie. I wszystko zanurza w specjalnym płynie. - Zegarek sam da pani znać, kiedy jest brudny - mówi pan Józef. Najpierw zaczynają się kaprysy - zwalnia, późni się. A potem staje. Najlepsze zegarki to dla pana Józefa "szwajcary", Vacheron Constantin Schaffhausen. Nigdy się nie psują. Kiedyś przynosili mu je do przeglądu hrabiowie z okolicy. Ale hrabiów już ich nie ma. I takich zegarków też już panu Józefowi nikt nie przynosi. W ogóle kiedyś zegarmistrzowie to mieszkali na dworach królewskich. Siedzieli w pracowniach długie lata i robili dla królów i książąt zegary grające, śpiewające, z ruchomymi figurkami.

#### **Zegarki Bulova i spółdzielnia inwalidów**

Zakład przy Waryńskiego nie należy do pana Józefa. Dlatego nie przekáže go ani córce, ani wnukowi. Gdyby został w USA, kiedy pojechał tam po raz drugi, dziś pewnie miałby swój zakład. I to w Nowym Jorku.

Była druga połowa lat 70. Udało mu się znaleźć pracę w zakładzie, gdzie naprawiało się bardzo drogie zegarki Bulova. - To było przy 29 Street, 5 Avenue - wspomina. Pracowali w czterdziestu. - Gdybym został, na pewno już bym miał własny zakład - mówi pan Józef. - Ale zachciało nam się z kolegą wrócić. Jak tylko wyładowaliśmy we Frankfurcie, powiedzieli nam, że samoloty do Polski nie latają, bo jest stan wojenny. Kupili więc używany samochód i ruszyli z Frankfurtu do Warszawy. Nakupili jeszcze papierosów i gum do żucia. Wszystko stracili na granicy z Polską. Ale do domu wrócili. I pan Józef do dziś pracuje w spółdzielni inwalidów.

#### **Te z duszą jeszcze wrócą**

- Trudno było się nauczyć obsługi elektronicznych zegarków? - pytam. - Nie - zegarmistrz wzrusza ramionami. - W

1970 r. mieliśmy specjalne kursy, jak naprawiać zegarki elektroniczne i cyfrowe, czyli kwarcowe z wyświetlaczem. Teraz już takich nie ma, może tylko Casio jeszcze je robi. Dziś nosi się zegarki wskazówkowe, ale na baterię. Mechaniczno-elektroniczno-kwarcowe. Dlaczego ludzie wolą zegarki na baterię? Bo są wygodniejsze. Z jedną baterią działają nawet kilka lat i nie trzeba ich nakręcać. A dziś nikomu się nie chce nakręcać zegarków. - Ale zegarek na baterię nie tyka, tylko milczy - mówię. - No właśnie - wzdycha pan Józef. - Zegar, który bije i tyka, żyje i ma duszę. A zegar na baterię jest martwy. Dlatego pan Józef jest przekonany, że ludzie jeszcze zatęsknią do nakręcanych zegarków: - Mnie już pewnie nie będzie na świecie. Ale one wrócą.

Katarzyna Pawłowska-Salińska

---

Tekst pochodzi z portalu Gazeta.pl - [www.gazeta.pl](http://www.gazeta.pl) © Agora SA

---